

Postprawda = kłamstwo + władza

11 czerwca 2019

W pewnej firmie podczas zebrania dyskutowano sprawę nagród dla zasłużonych pracowników. Na liście znalazł się między innymi ceniony i szanowany nie tylko przez współpracowników, ale w całej branży, starszy wiekiem i stażem dyrektor Siemisław, na tym zebraniu nieobecny. W pewnym momencie zabrał głos młody, zdolny, robiący piorunującą karierę Mściwój i oświadczył, że bardzo popiera wniosek, bo należy dowartościowywać starszych pracowników, jednak dodał, że z tego Siemysława to zawadiaka, mimo poważnego wieku. Mściwój puścił oko do sali i zaśmiał się: „całkiem niezły z niego dziwkarz”. Koniec końców, sprawa nagród została przesunięta na następne zebranie, i jakoś zapomniano o Siemysławie. Za to fama poszła w Polskę i tak się złożyło, że Siemisław odtąd był rzadziej zapraszany przez różne ważne gremia. Jak się wyraziła przerażona tym wszystkim administratorka Unisława, jego akcje spadły. Znała dobrze Mściwoja, przypominała ludziom, jaki on jest, zadawała pytania, ale nikt jej nie słuchał. Za to Mściwój kontynuował swój nieodparty ciąg w górę i, zgodnie z swoją najlepszą wiedzą, nadal to czyni, obecnie już na poziomie europejskiego zarządu grupy. Konkurencja została pokonana, kariera wygrana. Wstrętne to, ale bywa.

Powstaje jednak pytanie: czemu ludzie uwierzyli Mściwojowi. Czemu wierzy się Mściwojom, a nie Unisławom – słucha się moźnych, potężnych, silnych, lecz nie tych pozbawionych władzy? Siemisław kompletnie nie pasował do przypiętej mu gęby – wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i jemu także można sporo zarzucić, ale raczej bardziej z przeciwnego bieguna: pewną kostyczność, bezkompromisowość, nie zaś lubieżność i rozpustę. A jednak wieść o tym, że jest dziwkarzem, rozniosła się błyskawicznie po całej Polsce. Co więcej, ścisłe grono władzy, wspierające Mścislawa, jego potężny „network”, to osoby śpiące

ze sobą wzdłuż i w poprzek, w przeróżnych konfiguracjach, żonaci czy mężate, dzieciaci lub nie, nie odmawiają sobie żadnej łóżkowej radości, jaką tylko umieją schwytać. To wszystko nie jest jakąś wyjątkową historią, takich opowieści wszyscy znamy mnóstwo i możemy sypać nimi jak z rękawa na imprezach i towarzyskich spotkaniach (zbieram, notuję, przerabiam i używam). Co jest nie tak? Co to za postprawda nas opanowała i czemu zdaje się ostatnimi czasy osiągać tak epickie proporcje?

Zanim sięgniemy po wielkie polaryzujące narracje takich wydarzeń, które od czasu do czasu wstrząsają naszym światem, narracje takie jak wyjaśnienia narodowe i kulturowe („nie będzie w Polsce cywilizacji, bo Polacy są ciemni”), ideologiczne („przemocy w Kościele winna jest religia”) czy oświeceniowe („mit uniwersytetu umożliwia mobbing”), zerknijmy najpierw na pierwsze zdanie tego felietonu. Rzecz nie dzieje się w jednym z tych kontekstów obcych postępowcom, lecz w naszym codziennym życiu, w naszych korporacjach, urzędach, zwykłych miejscach pracy, a także w instytucjach kościelnych, państwowych i uniwersyteckich. Sytuacje tego rodzaju miały miejsce zapewne zawsze, ale nie były aż tak znormalizowane, aż tak prosto w twarz na bezczela, jak ostatnio. A więc co się właściwie z nami dzieje?

Jak pisałam w moich poprzednich felietonach, uważam, że to nie z obniżenia jakości naszego człowieczeństwa wywodzić należy problemy współczesności. Jedną z przyczyn tych problemów jest brak struktur odpowiednich do ogarnięcia ogromnej złożoności, jaka te czasy charakteryzuje. Jak piszą dwaj uczeni zajmujący się zarządzaniem, Brytyjczyk Peter Bloom i Australijczyk Carl Rhodes w swojej opublikowanej w tym roku książce „CEO Society” (niedługo ukaże się polskie tłumaczenie), idolami współczesności zostali wielcy megaszefowie, arcybogaci członkowie elity, tego jednego procenta ludności naszej planety, który przejmuje stopniowo własność coraz większej części jej dóbr (w momencie pisania tego tekstu jest to około

45% globalnych zasobów).

Czyż to nie zastanawiające? Pokolenie moich dziadków czciło gwiazdy srebrnego ekranu – młoda dziewczyna z niewielkiego miasteczka Lipno, Apolonia Chałupiec, mogła stać się sławną na całym świecie Polą Negri, biedna Freda McDonald, pochodzącej z czarnej rodziny z St. Louis, została supergwiazdą i bohaterką Josephiną Baker. Pokolenie moich rodziców też oglądało filmy, ale fascynowali ich wielcy reżyserowie, też nie zawsze wywodzący się z bogatych środowisk. Ingmar Bergman był synem luterańskiego księdza, a Federico Fellini urodził się w niewielkim włoskim mieście. Moje szeroko pojęte pokolenie wielbiło muzyków rocka, wśród których były dzieci klasy robotniczej, takie jak John Lennon. Przede wszystkim ceniliśmy ich wszystkich za coś: za blask, za charyzmę, za to, że przechadzali się ramię w ramię z Muzami. Naśladowaliśmy ich, a nawet jeśli nie wszyscy stawaliśmy się drugim Rudolfem Valentino, to ich przykład wyzwalał blask, uruchamiał wyobraźnię, elektryzował marzenia. Dzisiaj, piszą Bloom i Rhodes, mamy zamiast tego wielkich prezesów, słynnych z tego, że są bogaci i mają władzę – i z tego powodu zasługujących na nasze uwielbienie i świecących wzorem (oraz, dodam za Wiesławem Godzicem, celebrytów znanych z tego, że są znani, czyli postaci oferujące sen o loterii – „może nie mam ani pieniędzy, ani talentu, ale machina sławy może mnie wylosować”). Tyle że ten wzór nie tylko nie prowadzi na Helikon, ale z wielkim trudem nadaje się do naśladowania.

Aby piąć się w górę społecznej hierarchii w tych warunkach, potrzebna jest, oprócz gigantycznej fortuny na wejściu, także bezwzględność i brak impulsów wstrzymujących pęd w górę, takich jak współczucie, wahanie, namysł. Nic dziwnego, że ci, którym udaje się trudna sztuka kariery w tych czasach, to szczególnie często socjopaci lub osoby, które w jakimś momencie, np. pod wpływem kursów lub naśladowując ludzi sukcesu, zaczęły działać jak socjopaci. Te postaci są „artykułami zastępczymi” budowniczych mostów między rolami społecznymi.

Zapewniają łączność między nimi nie przez misterne budownictwo, ale przez redukcję, odcinanie tego, co dzieli – czyli niemal wszystkiego. Zostają naga władza i przemoc. Na ogół robią to z wielkim uśmiechem – ale proszę kiedyś popatrzeć na oczy uśmiechających się w ten sposób. Ten uśmiech jest środkiem znieczulającym.

Do tego dochodzi coraz większa możliwość działania poza odpowiedzialnością, im bardziej jest się na górze. W swojej najnowszej książce pod tytułem „Monitored”, Peter Bloom diagnozuje współczesne społeczeństwo cyfrowej kontroli. Wszyscy jesteśmy stale obiektami monitoringu ze strony pracodawcy, bo kamery działają w coraz większej ilości miejsc pracy, a do tego dochodzi coraz bardziej misterny system elektronicznej kontroli, wszechobecne pomiary wydajności, parametry decydujące o awansie i zwykłym przetrwaniu na stanowisku pracy. Przyzwyczailiśmy się już do ciągłego nadzoru w naszych miastach, w budynkach mieszkaniowych, na dworcach. Coraz bardziej rozpowszechnione są praktyki samo-monitoringu, pomiary pulsu, kroków, ilości snu, składu krwi i niebiosa wiedzą czego jeszcze. Wszyscy jesteśmy stale pod ścisłą kontrolą. Wszyscy – z wyjątkiem pozycji władzy.

Im wyżej w społecznej hierarchii, tym bardziej osoba zajmująca pozycję staje się niewidoczna i tym bardziej niekontrolowalne są jej działania, decyzje, w tym także (zwłaszcza?) te mające konsekwencje dla innych ludzi. W najlepszym razie te działania są indywidualizowane i opowiadane z poziomu jednostkowego czy organizacyjnego. Szef znęca się nad pracownikiem? To konflikt między nimi. Inwestor rozbija konkurencyjną firmę, którą przejął? To dbałość o równowagę między własnymi markami. Molestowanie? Cóż, szef jest zmęczony, ma tyle na głowie, a ona jest młoda i chciała awansować. Ale nikt nie rozlicza władzy z tego, co obiecuje, jakie społeczne konsekwencje mają jej działania, dokąd płyną pieniądze. Zdarzają się większe przecieki lub epizodyczne skandale, ale one trwają chwilę i zaraz ich nie ma. A szczegółowy pomiar czasu pracy i oznak

życia pracownika Amazona jest stały i pewny jak grawitacja.

Co robić? Peter Bloom podpowiada: skierujmy kamery w górę, skierujmy całą moc technologii na szefów, na prezesów, na wszelkie role związane z władzą, zrobmy im „powerveillance”, władzonitoring. Technologia, jak przypomina Bloom, nie determinuje swojego wykorzystania. Cele i sposoby użycia technologii wyznaczają struktury władzy i, ewentualnie, oporu. „Postprawda” i „fejk niusy” nie zakończą się wtedy, gdy zaczniemy wszystko dokładnie sprawdzać. To zajmuje zbyt wiele czasu i nie ma zasięgu tak wielkiego, jak mają same te zjawiska, a więc nie umniejsza to zbyttnio mocy ich oddziaływania. Nie, one przestaną być tak bardzo groźne i zmaleją z powrotem do rozmiarów zwykłych kłamstw i dziennikarskich kaczek, gdy pozbawi się je mocy władzy i jednocześnie przeciwstawi społecznym wizjom lepszego świata i łączącego nas sensu.

Wystarczy skierować kamery do góry – reflektor na władzę! Niech skończą się rozdania pod stołem. Niech opadną zasłony, za którymi panuje pełna swoboda robienia czegokolwiek. To zagna socjopatów z powrotem do domów, albo, jeszcze lepiej – na kursy empatii, sztuki, kultury, bo jestem przekonana, że większość z nich w dobrych warunkach dałoby się zarazić pasją, choćby elementarnym współczuciem i radością życia. Wypalenie przestanie być najczęstszą jednostką chorobową szefa, ceną za przywilej pozostawania pod ochroną. Wówczas budowniczowie mostów między różnymi rolami społecznymi odbiorą swoją robotę socjopatom. Świat rodem z kursów o liderszipach nie jest ani konieczny ani możliwy na dłuższą metę, jego porządek trzeba utrzymywać środkami, które są jak roundup – skuteczne, ale śmiertelne.

Kiedyś dogadamy się ze sobą. Nie musimy wszyscy mieć takich samych poglądów. Nie na „takosamości” buduje się złożone systemy społeczne. Zaczniemy je budować na skomplikowanych, niełatwych, niebanalnych, troszkę pokracznych, nadmiarowych i barokowych połączeniach między tym, co nas różni, między tym,

czego się nauczyliśmy w czasie, gdy sypały się struktury i każda, każdy z nas wyrośliśmy troszkę dziko, jak nieprzycinane drzewa. Na tych więziach zbudujemy nowe struktury, barok absolutny, same esy floresy. Naszym pierwszym podręcznikiem do zarządzania będzie tekst napisany przez kogoś, kto będzie pisał go płacząc, śmiejąc się, marząc, jedząc na przemian kebab i pierogi i pijąc piwo z malinami. Szkoda, że nie lubię kebabów ani piwa z malinami, chciałabym taki tekst napisać.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Źródło: NowyObywatel.pl